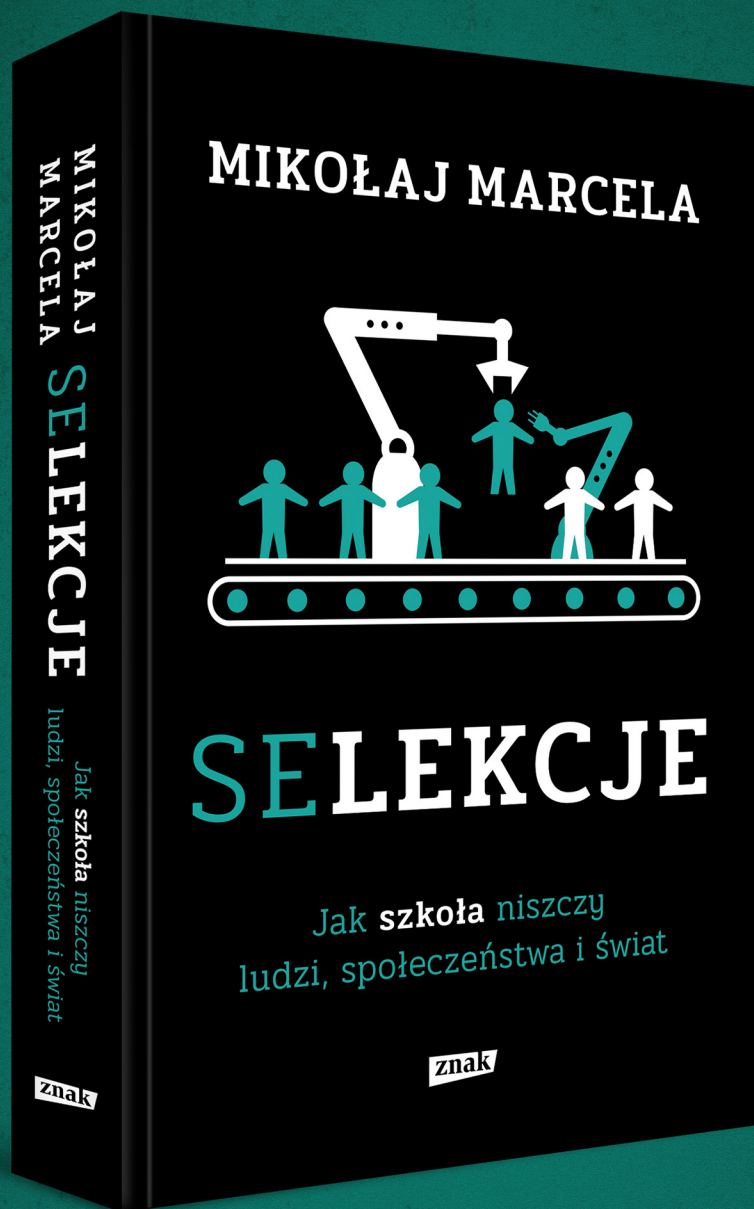


PREMIERA

11.08.2021



CZY WIESZ, ŻE

za większość problemów w twoim życiu odpowiada szkoła?

Dlaczego szkołę trzeba zlikwidować?

Jak szkoła niszczy nasze dzieci, społeczeństwo i świat?

Trudno sobie wyobrazić świat

bez szkoły.

Czego uczy nas szkoła? Czy poza tabliczką mnożenia nie wpaja w nas uległości, bierności, postuszeństwa, rywalizacji i pracy pod przymusem?

Wierzymy, że szkoła rozwija w dzieciach zaradność, niweluje nierówności społeczne i przyczynia się do postępu świata. To mit! Jest dokładnie na odwrót! To ona w dużym stopniu sprawia, że ludzie są nieszczęśliwi. To ona prowadzi społeczną selekcję, już kilkulatków dzieląc na lepszych i słabszych. To ona czyni świat coraz gorszym miejscem do życia i to również przez nią najczęściej zapominamy, kim jesteśmy, przestajemy być sobą.

Szkoła jest instytucją stworzoną w konkretnym czasie i dla realizowania określonych celów. Tyle tylko, że ten czas i cele dotyczą XIX wieku – wtedy narodził się system edukacji, w ramach którego funkcjonują nasze szkoły. **Zwłaszcza dziś w dobie nauki zdalnej – bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – potrzebujemy zupełnie innego myślenia o edukacji i jej roli w naszym życiu, zrozumienia, jak szkoła niszczy ludzi, społeczeństwa i świat.** Potrzebujemy też konkretnej wiedzy, by uratować nasze dzieci – zróbmy wszystko, by szkoła nie zabiła w nich kreatywności, głodu poznawania świata i marzeń!

Nowa książka bestsellerowego autora, specjalisty w obszarze edukacji.

Mikołaj Marcela

– pisarz, wykładowca, nauczyciel, specjalista w obszarze edukacji dzieci, a także autor tekstów piosenek. Na Uniwersytecie Śląskim wykłada na kierunkach sztuka pisania, filologia polska oraz projektowanie gier i przestrzeni wirtualnej. Jego książki „Jak nie spierzyć życia swojemu dziecku. Wszystko, co możesz zrobić, żeby edukacja miała sens” oraz „Jak nie zwariować ze swoim dzieckiem” stały się bestsellerami.

A może właśnie
to powinniśmy
dziś zrobić?





SZKOŁA, CZYLI CO?

(...) patrząc na dzisiejszą szkołę, trudno sobie wyobrazić, że jej nazwa pochodzi od greckiego *scholé*. Termin ten najpierw oznaczał spokój i wolny czas, a potem czas przeznaczony na uczenie się (dobrowolne słuchanie wykładów, samodzielną lekturę tekstów, prowadzenie dyskusji). Nie inaczej było w starożytnym Rzymie: po łacinie *schola* oznaczała wolny czas i odpoczynek.

Lubię wracać do etymologii tego słowa, ilekroć słyszę o leniwych uczniach, którzy proszą się w przyszłości o bezrobocie z powodu niechęci do wstania na ósmą do szkoły, pisania sprawdzianów i odpytywania przez nauczyciela. Lubię wracać do etymologii tego wyrazu również wtedy, gdy słyszę, że przepracowani uczniowie w szkołach publicznych to mit i powinni robić więcej i więcej. Lubię wracać do etymologii tego wyrazu, kiedy ktoś mówi o wymogu podstawy programowej, ocen i zadań domowych. W końcu lubię wracać do etymologii tego wyrazu, gdy słyszę, że szkoła musi być stresująca, bo w ten sposób przygotowuje uczniów na realia dorosłego życia.

Zmieniliśmy szkołę w przymusową instytucję, w której młodzi ludzie muszą uczyć się narzuconych im odgórnie treści. Konsekwentnie odbieramy im czas wolny, zabraniamy zabawy i czerpania radości z nauki, nie pozwalamy im być szczęśliwymi. A to właśnie ten czas wolny i zabawa to prawdziwa szkoła, to wtedy dzieci naprawdę się uczą i odpoczywają.

Daleko mi przy tym do nostalgicznego nawoływania do „powrotu do źródeł”, „retrotopijnych” wyobrażeń, zgodnie z którym głównym zadaniem ludzkości jest zwrócenie się w stronę przeszłości i próba odbudowy upadłego w ruinę raju. To oczywiste, że XXI wiek różni się od realiów starożytnej Grecji czy Rzymu. Niemniej czasami trzeba zrobić dwa, a nawet trzy kroki wstecz, by móc pójść naprzód. I myślę, że właśnie nadchodzi czas, by te kilka kroków wstecz zrobić i przeprowadzić krytykę obecnej szkoły, mając na uwadze jej właściwe początki. Warto też zastanowić się nad tym, jak uczyli się ludzie, zanim powstał termin *scholé*. To jednak zostawiam na sam koniec.

Nowoczesny system szkolnictwa spełnia ukryte funkcje, wśród których najważniejsze to nadzór, selekcja, indoktrynacja i uczenie. Szkołę można zdefiniować jako „przeznaczony dla pewnej grupy wiekowej i związany z osobą nauczyciela proces wymagający uczestnictwa w pełnym wymiarze godzin oraz istnienia obowiązkowego programu nauczania”. Co ciekawe, taki stan rzeczy wydaje się nam wszystkim „naturalny”. Nie dziwi nas rozdział między dorosłym społeczeństwem, które zasługuje na miano w pełni ludzkiego (dlatego może samodzielnie o sobie decydować),

i środowisko szkolne, w którym funkcjonują młodzi ludzie i które pod wieloma względami nie przystaje do rzeczywistości. Zapominamy, że dzieciństwo, jakie znamy, powstało w XIX wieku wraz z ruchem ogródków dziecięcych (*Kindergarten*) Friedricha Fröbela i w odpowiedzi na procesy, o których będę pisał w dalszych rozdziałach. Zapominamy też, że do ubiegłego stulecia dzieci burżuazji korepetytorzy kształcili w domach lub posyłano je do prywatnych szkół. Dopiero wraz z nadejściem ery przemysłowej rozpoczęła się w naszej kulturze masowa produkcja „dzieciństwa” dla mas. System szkolnictwa, jaki znamy, to zjawisko nowoczesne, tak samo jak dzieciństwo, które stwarza.

Dzieci z definicji stają się uczniami, a to wytwarza popyt na nauczycieli. Nowoczesna szkoła opiera się więc na aksjomacie, że uczenie się to rezultat nauczania młodych ludzi przez dorosłych. Dla jednych, jak i drugich staje się to pracą na pełny etat. Dla młodych ludzi jest to jednak pod wieloma względami praca niewolnicza – przedłużenie czy nowa forma dawnych prac na roli czy w fabryce. Nie mają oni przecież prawa wyboru tego, czym chcą się zajmować, nie mogą też zmienić dowolnie miejsca nauki czy wybrać tych, z którymi chcą się uczyć. I tak oto rodzi się zapotrzebowanie na różnego rodzaju techniki „motywacji” do nauki. Uczniowie jednak nigdy nie szanowali tego, czego się uczyli w ramach szkoły. Przechodzą przez nią głównie dzięki wkuwaniu, czytaniu i sprytowi. Chodzi tylko o zdanie egzaminów, do czego motywowani są kijem albo marchewką oraz wizją pożądanej kariery. Ci, którzy nie chcą tego robić, mają w szkole problem. Wśród nich jest wiele osób, których dziś uważamy za geniuszy: z jednej strony Albert Einstein, który niemiłosiernie męczył się w szkole, z drugiej Thomas Alva Edison, który odszedł ze szkoły w wieku ośmiu lat, gdyż nauczyciel uznał, że ma „słaby umysł”. Edison w wieku dwunastu lat zarabiał już, prowadząc kilka własnych firm i kontynuując naukę na własną rękę.

INSTYTUCJA PRZYMUSOWEJ TERAPII

Szkoła to swego rodzaju instytucja przymusowej terapii. A może raczej to instytucjonalny twór łączący cechy wojska, więzienia, szpitala i kościoła. Zdecydowaliśmy jako społeczeństwa, że w szkole jedna grupa ludzi, czyli nauczyciele, mogą podejmować właściwie dowolne działania wobec drugiej grupy ludzi, czyli uczniów. W dodatku ci pierwsi mogą stosować przymus wobec tych drugich i to tak długo, aż uznają, że ci drudzy są już na tyle dobrzy i na tyle dużo wiedzą o życiu, że mogą samodzielnie o sobie decydować.

W szkole nieustannie dyskutuje się o „motywacji”, choć tak naprawdę sprowadza się ona do manipulacji. Jej celem jest przecież zmuszenie ludzi zamkniętych w szkole do tego, by robili to, czego nie chcą i co nie ma dla nich znaczenia. Temu też służą rozmaite mechanizmy dyscyplinujące i wymuszające właściwe zachowanie.

By pojąć absurd i niedorzeczność tej sytuacji, warto przywołać podany przez Rutgera Bregmana w *Homo sapiens. Ludzie są lepsi, niż myślisz* przykład więzienia w Halden, które położone jest sto kilometrów na południe od Oslo. W nim każdy osadzony ma własny pokój z prywatną łazienką, telewizorem i kuchnią, a nawet ogrzewaniem podłogowym. Jest biblioteka i ścianka wspinaczkowa, studio muzyczne, w którym osadzeni mogą nagrywać własne płyty, trzech więźniów wzięło też udział w norweskim Idolu. Strażnicy nie noszą broni, „rozmawiają z chłopakami”. Natomiast kilka kilometrów dalej, w więzieniu Bastøy, więźniowie i strażnicy wspólnie jedzą hamburgery, pływają, mają do dyspozycji kino i solarium, a także dostęp na przykład do noży. Przy tym oczywiście ciężko pracują, by utrzymać swoją społeczność. Jak to możliwe? Jeden ze strażników w więzieniu Bastøy mówi: „To naprawdę bardzo proste. Traktuj ludzi jak brud, a będą brudni. Traktuj ich jak ludzi, a będą się zachowywać jak ludzie”.

Zestawmy to z tradycyjnym sposobem funkcjonowania bardzo wielu szkół. Szkół, do których trafiają młodzi ludzie tylko z jedynym „przewinieniem”: wiekiem skazującym ich na przymusową obecność w systemie edukacji. Szkół, w których czekają ich kary za złe zachowanie, niechęć do wykonywania zadań domowych, pisania sprawdzianów, siedzenia w ciszy w ławce przez 45 minut, ale także chęć rozmowy czy zabawy. Szkół, w których często uczniowie nie mogą liczyć na partnerskie stosunki ze swoimi opiekunami. Na takie relacje, jakie w norweskich więzieniach mogą mieć ze sobą strażnicy i dilerzy narkotykowi...

Może w takim razie w edukacji wystarczyłoby wprowadzić w życie słowa wspomnianego strażnika, żeby wszystko zaczęło działać jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki? To jednak nie rozwiązałoby podstawowego problemu edukacji. John Holt przestrzega przed pokusą reformowania i ucłowieczania szkół. Usprawniony i skuteczniejszy system edukacji będzie szkodził jeszcze bardziej niż do tej pory. System edukacji nie może działać mądrze i po ludzku, bo jego cele nie są ani mądre, ani ludzkie.

(NIE)WIDOCZNE CIERPIENIE

Dlaczego jednak dorośli – zarówno rodzice, jak i nauczyciele – godzą się na taki kształt szkoły i cierpienie swoich dzieci oraz uczniów? Dlaczego wierzą w mit mierzenia wartości postępów nauki za pomocą testów oraz generalnie w mit wiecznego postępu w nauce, w którym nie ma miejsca na błędy, potknięcia, kroki wstecz i zmiany w myśleniu o 180 stopni? Głównie dlatego, że przez dwieście lat być może wszyscy w pewnym sensie nawet nie tyle się przyzwyczailiśmy i znieczuliliśmy na cierpienie, jakie taki system wyrządza młodym ludziom i nam, lecz nigdy go nie zauważyliśmy, postrzegając przeniesienie dzieci z linii produkcyjnej w fabryce do szkolnej ławki jako zbawienie. Uwierzyliśmy przy tym, że ważniejsze w szkole jest to, iż ktoś bezsensownie wykona polecenie albo wykaże się znajomością jakiejś wiadomości na teście, a nie to, że coś naprawdę zrozumiał.

Niektórzy dorośli starają się racjonalizować tę sytuację, tłumacząc sobie, że szkoła przygotowuje uczniów do tego, by później sprościli wymogom rynku pracy. Wstawanie na lekcje rozpoczynające się o ósmej – czy nawet siódmej – rano ma rację bytu, bo w przyszłości pracodawca będzie tego wymagał od tych, którzy aktualnie są uczniami, mówimy sobie. Osoby, które myślą w ten sposób, zapominają dodać, że nikt owych uczniów nie zmusi do pracy w „etatowych” godzinach. Przemilczają także – świadomie bądź nie – to, że każdy człowiek może zmienić swoje miejsce pracy lub po prostu przestać pracować. Pod tym względem szkole znacznie bliżej do niewolnictwa, w którym człowiek nie może odmówić pracy.

Szkoła niestety krzywdzi dzieci także w bardziej wysublimowany i niewidoczny sposób. Doskonale ujął to Charles E. Silberman w wydanej w 1970 roku książce o znamienym tytule *Crisis in the Classroom*:

Nie da się przebywać przez kilka godzin w klasie szkoły publicznej, nie bulwersując się widoczną wszędzie destrukcją – destrukcją spontaniczności, destrukcją radości uczenia się, destrukcją zadowolenia czerpanego z twórczości, destrukcją poczucia własnej wartości. (...) Dorośli uważają, że szkoły są, jakie są, i trudno mówić o jakichś zmianach, dlatego nie zauważają już, jak ponurymi i smutnymi miejscami stała się większość amerykańskich szkół, jak nieznośne i małostkowe są rządzące nimi zasady, jak intelektualnie i estetycznie jałowa jest panująca w nich atmosfera, jak przerażająco nieuprzejmi są nauczyciele i przełożeni, z jaką nieświadomą pogardą odnoszą się do swoich uczniów (...).

ZOMBIE?

Gdy w 2010 roku postanowiłem najpierw napisać pracę magisterską z filozofii poświęconą fenomenowi żywych trupów, a następnie zmieniłem temat swojej pracy doktorskiej tak, by także w niej zająć się zombie, wampirami i innymi potworami znanymi z popkultury, wielu nauczycieli akademickich patrzyło na mnie z politowaniem. Niektórzy z nich radzili mi wprost, żebym nie zajmował się pierdołami i podjął się poważnego zadania badawczego – pozostali dawali mi to do zrozumienia w niewerbalny sposób. Jednak dzięki zombie i żywym trupom nie tylko obroniłem obie prace, zrozumiałem także lepiej rzeczywistość, w której funkcjonujemy. W tym system edukacji.

W połowie 2020 roku profesor Rob Lue z Centrum Nauczania na Uniwersytecie Harvarda przestrzegął, że przeniesienie modelu kształcenia znanego ze szkół stacjonarnych do internetu sprokuruje tylko jeszcze większe problemy. Uczniowie stłamszeni w swoich pokojach i wpatrzeni przez wiele godzin w ekrany mieli stracić motywację do nauki i zamienić się w Zombie Zoom. To ciekawe, że Lue wybiera właśnie to pojęcie, by nazwać potencjalne zagrożenie związane ze zbyt długim przebywaniem przed ekranem. Po pierwsze dlatego, że zombie – w przeciwieństwie na przykład do wampirów – to potwór, który w naszej kulturze został spopularyzowany w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku przez filmy, a w ostatnich dekadach stał się bohaterem

niezliczonej ilości seriali i gier komputerowych. Natomiast niedawno użyto też tego pojęcia w odniesieniu do młodych ludzi obsesyjnie korzystających ze smartfonów. *Smombie*, czyli smartfon zombie, to przedstawiciel hordy zapatrzonych w ekrany telefonów ludzi przemierzających każdego dnia ulice największy miast świata.

Można więc odnieść wrażenie, że to kontakt z ekranem zamienia dziś ludzi w zombie. Przypisujemy ekranom magiczną moc panowania nad ich użytkownikami. Zupełnie jak haitańscy szamani z amerykańskich produkcji filmowych (zaczynając do *White Zombie* braci Halperin z 1932 roku), którzy dzięki magicznemu proszkowi byli w stanie zamienić mieszkańców wyspy w niewolników spełniających ich życzenia. W rzeczywistości jest jednak całkiem na odwrót: smartfony i ekrany są formą ucieczki od egzystencji na miarę żywego trupa. Zarówno dla młodych ludzi, z których bardzo wielu powoli zamienia się w zombie przez dwanaście lat edukacji, jak i dla dorosłych, którzy doczekali się takich określeń, jak chociażby korpo-zombie. Myślę jednak, że podstawowym doświadczeniem dla stopniowego przeobrażania naszej świadomości w taki sposób, że jesteśmy – zarówno jako dzieci, jak i jako dorośli gotowi podjąć się niewolniczej pracy na miarę żywych trupów z Haiti, jest doświadczenie szkoły.

Bierne siedzenie w ławce i słuchanie nauczyciela, bezwolne wykonywanie ciężkiej i często pozbawionej sensu pracy, brak regulacji czasu pracy i nauki, co skutkuje wielogodzinnym odrabianiem zadań przez uczniów w domu. Ponadto niemożność wypowiedzenia relacji nauczyciel–uczeń przez tego drugiego. Wielu krytyków (także ja) dostrzegało od zawsze w filmach o zombie przede wszystkim makabryczną metaforę relacji pracodawca – pracownik, która w skrajnej formie przyjmuje postać relacji pan–niewolnik. Być może jednak z dzisiejszej perspektywy należałoby na nią spojrzeć jako na zainspirowaną władzę sprawowaną przez nauczyciela nad uczniem?

Im dłużej młodzi tkwią w systemie, tym bardziej zamieniają się w szkolne żywe trupy. W edukacji wczesnoszkolnej, gdy swoboda ruchu i zabawa nadal są częścią uczenia się, a zadania domowe należą do rzadkości, dzieci pozostają ludźmi. Jednak wraz z podporządkowaniem nauki egzaminom – najpierw testowi ósmoklasisty, a potem maturze – i wraz ze zwiększeniem obciążeń, pojawia się znużenie, apatia, zmęczenie. Oczywiście na to, że młodzi ludzie (zwłaszcza nastolatki) w szkole nierzadko przypominają żywe trupy, składają się także inne czynniki, chociażby niewiedza lub brak zrozumienia przez system edukacji zmian w cyklu snu wraz z wiekiem uczniów. Niemniej to przede wszystkim brak autentycznych relacji międzyludzkich na linii nauczyciel–uczeń, nacisk na testowanie i sprawdzanie wiedzy, przeładowanie materiałem i zasypywanie monotonnymi zadaniami domowymi sprawia, że to nie są już dzieci – to zombie.

To samo dotyczyło edukacji zdalnej. To nie nadmierny kontakt z ekranami zmieniał uczniów w żywe trupy. Źródłem tej przemiany był model szkoły, w którym nadal funkcjonowaliśmy w Polsce i na świecie. Model, w którym zamiast uczenia asynchronicznego system sugerował uczenie synchroniczne – a więc zakładał konieczność kontaktu i nauki w czasie rzeczywistym, uczenia się wszystkich w tym momencie i miejscu w ramach platform cyfrowych, choć internet i nowe formy

komunikacji nie wymagają już tego typu podejścia do edukacji. Zamiast większego korzystania z metod projektowych zdecydowano się na anachroniczną metodę wykładu. Zamiast wypracowywać określone zagadnienia w czasie pracy w grupie, nauczyciele nadal przekazywali całą niezbędną według nich „wiedzę” uczniom. Zamiast stosowania metody odwróconej klasy wybierano tradycyjny sposób organizacji zajęć, zamiast lapbooków (czyli własnoręcznie wykonanych przez uczniów „książek”, które gromadzą informacje na dany temat) i kreatywnych metod weryfikacji tego, jak przebiegł proces uczenia się, zdecydowano się na testy i sprawdziany. Paradoksalnie to właśnie nowe technologie mogły uwolnić uczniów od ich edukacyjnej egzystencji żywego trupa.

Niestety filozofię panującą – nie od dziś – w systemie edukacji, można sprowadzić do takiej formuły: „skoro fakty nie zgadzają się z teorią, tym gorzej dla faktów”. Zarówno przed erą edukacji zdalnej, jak i w jej trakcie, motywacja uczniów się zmniejszyła, był problem ze sprawdzianami, zadaniami domowymi i egzaminami. Przecież od wielu lat mało co działało w edukacji. Dlatego najwyższy czas dostrzec, że to nie wina internetu i gier komputerowych czy tego, że dzieci są leniwe i niczym się nie interesują. W dużej mierze winna tej sytuacji jest szkoła. Jeśli młodzi ludzie mają przestać się przeobrażać w zombie, wpatrując się całymi dniami w ekrany, to nie należy zakazywać im lub ograniczać korzystania z elektroniki – powinno się raczej zakazywać lub ograniczać korzystanie z dotychczasowego modelu szkoły.

WŁADCA MUCH – HISTORIA PRAWDZIWA

„większość ludzi w głębi duszy jest całkiem przyzwoita”.

To niestety pogląd, któremu nieustannie staramy się zaprzeczać. Zupełnie jakby z jakiegoś powodu był niebezpieczny (i rzeczywiście, jest groźny – dla trwania dotychczasowego porządku). Jednocześnie to pogląd, który może się wydać wręcz absurdalny, szczególnie patrząc na system edukacji. Powszechnie przecież wiadomo, jak zachowałyby się dzieci, gdyby pozostawiono je same sobie, bez opieki dorosłych. Niechybnie doszłoby do rzezi, co unaocznili nagrodzony Noblem William Golding w powieści *Władca much*. Komitet Noblowski napisał, że jego twórczość „rzuca światło na stan człowieczeństwa w dzisiejszym świecie, z przenikliwością realistycznej sztuki narracyjnej oraz różnorodnością i uniwersalnością mitu”.

Golding opisuje historię grupy chłopców ocalałych z katastrofy samolotu na bezludnej wyspie. Gdy próbują samodzielnie zorganizować swoją społeczność, konsekwencje są opłakane. Dzieci stopniowo pogrążają się w barbarzyństwie. I chociaż powieść przedstawia świat fikcyjny – zgodnie z zamysłem autora, miała pokazać, jak naprawdę zachowywali by się młodociani rozbitkowie na bezludnej wyspie – w naszej kulturze funkcjonuje raczej jako przypowieść o ludzkiej naturze. Sęk w tym, że taka historia naprawdę się wydarzyła nieco ponad dziesięć lat od wydania powieści Goldinga. Zakończyła się jednak zupełnie inaczej.

W czerwcu 1965 roku sześciu nastolatków z archipelagu Tonga wsiadło na łódź i wypłynęło na otwarty ocean, na którym się zgubili. Z uszkodzonym przez burzę sterem, bez map i busoli, po ośmiu dniach wylądowali na bezludnej wysepce 'Ata, na której spędzili kolejne piętnaście miesięcy. Grupa młodych ludzi w wieku 13–16 lat została odnaleziona dopiero przypadkiem we wrześniu 1966 roku przez australijskiego podróżnika Arthura Warnera.

W przeciwieństwie do mrożącej krew w żyłach powieści Goldinga, chłopcy od samego początku wszystkim dzielili się po równo – zarówno wodą, jak i jedzeniem. Na wyspie zbierali deszczówkę, rozpalili ogień i pilnowali go z takim zapamiętaniem, że ten nie zgasł ani razu przez ponad rok. Stworzyli kuchnię, ogród, boisko do badmintonu, pracując w dwuosobowych zespołach zgodnie z grafikiem. Gdy pojawiały się między nimi napięcia, nie rzucali się sobie do gardeł jak we *Władcy much*. Zamiast tego udawali się na przeciwległe krańce wyspy, by się uspokoić. Ich dni zaczynały się i kończyły pieśnią i modlitwą – wszyscy bowiem chodzili do tej samej katolickiej szkoły z internatem w stolicy Tonga Nuku'alofa.

Życie napisało więc zaskakujące postscriptum do powieści Goldinga. Wbrew stereotypowym wyobrażeniom na temat ludzkiej natury, po raz kolejny okazało się, że w momentach kryzysu, ludzie chcą ze sobą współpracować i pomagać sobie nawzajem. Rutger Bregman przypomina tę historię w *Homo sapiens*, zaczynając ją jednak od stwierdzenia, że nie byłoby jej, gdyby nie przeżliwe znudzenie chłopców. Chłopców, którzy tęsknili za przygodą, a nie za odrabianiem zadań, za życiem na morzu, a nie przesiadywaniem w szkole.



Tematy do rozmów.

1. Skąd wziął się dzisiejszy system szkolnictwa?
2. Czy dzieci rzeczywiście nie powinny chodzić do szkoły?
Co mogłyby robić w tym czasie? Jak się uczyć? Skąd czerpać wiedzę?
3. Dlaczego szkoła niszczy wrażliwość naszych dzieci?
4. Dlaczego wychowujemy ludzi pod linijkę? I czym to grozi?
5. Jak szkoła służy władzy?
6. Jak szkoła niszczy społeczeństwa?
7. Czy jest szansa na zmianę podejścia do szkolnictwa? Co musiałoby się stać, żeby to się stało? Kto o tym decyduje?
8. W jakie mity dotyczące szkoły wierzymy? I dlaczego nie są one mitami?
9. Dlaczego nauczanie szkolne nie gwarantuje powszechnej edukacji?
10. W jaki sposób szkoła selekcjonuje dzieci? W jaki sposób je dyskryminuje?
11. Czym można zastąpić tradycyjny sposób „oceniańia”?
12. Czy jest możliwe państwo bez szkoły, jako instytucji?

